

Zaczynamy gnić, 1947 - Józef Mackiewicz

5 sierpnia 1940 był dniem upalnym. Rano przybyłem do Wilna dla załatwienia kilku sprawunków i po południu miałem wracać pociągiem podmiejskim na wieś. W dusznej atmosferze wisiały nieruchawo transparenty czerwone. Z każdej nieomal witryny wyzierał portret Stalina, częściowo już wyblakły od słońca i popstrzony przez muchy. Chodniki były nagrzane, przechodnie spoceni. Na placu przed dworcem kolejowym zbitą ciżbą stał tłum ludzki, a z trzech ulic wylotowych napływały wciąż nowe grupy manifestantów.

Łatwo było odgadnąć, że maszerowali wszyscy, kogo rozkaz maszerowania dosięgał bezpośrednio. Szli dorośli i dzieci. Jak się później okazało, dzieci te trzymane były od rana bez obiadu w szkołach, a później tkwiły na skwarze. Leniwie kołysały się transparenty i sztandary czerwone. Nad kurzem wzbijanym nogami, nad zaduchem ludzkim płynęły dźwięki „Międzynarodówki”.

Z trudem lawirując, przeciskałem się w kierunku poczekalni dworcowej. Jeszcze dwa – trzy razy zapytałem przechodniów na chodniku o przyczynę uroczystości. Nikt nie wiedział. Uroczystości, pochody i manifestacje odbywały się teraz zbyt często.

- Zapytaj pan tych, co idą – mruknął któryś.

Obok maszerowała właśnie delegacja – sądząc z zewnętrznego wyglądu – jakiegoś artelu rzemieślniczego.

- O co chodzi? – spytałem szeptem zacnego majstra, który nie mógł złapać nogi w szeregu.

W tej chwili poznałem go: szewc z ul. Zarzecznej. Poprawił nogę i maszerował teraz jak stary komunista. Udał, że mnie nie zna.

- O ważne rzeczy chodzi – odpowiedział.

W poczekalni dworca panował tłok nieopisany. Nikogo nie wypuszczano na peron. Pociągi miały odejść później. Trzeba czekać. Wielu próbowało się przepchnąć koło biletera, ale w drzwiach stał bojec z czterograniastym bagnietem na karabinie. Kontroler w przejściu patrzył tępo przed siebie. Na czapce jego widniała gwiazda, daszek opadał na oczy... W zmarszczkach twarzy taił się brud stacyjny i zniechęcenie.

- Panie! – wołała jakaś kobieta, zaciągając z wileńska – niechaj pan zlituj się, mnie dzieci czekajon w domu.

- Nie ma tu żadnych „panów” – odburknął kolejarz. Kobieta się cofnęła.

- Jak do niego, cholera, mówić? – zapytała szeptem sąsiadkę.

- Wiadomo jak: powiedz pani „towarzyszu”.

- Towarzyszu!... – zaczęła znów tamta biadającym tonem i urwała raptownie.

- Nie można teraz. Czego się pchacie? Ech, naród jaki nieorganizowany! – zawołał oficer NKWD, wyrastając nagle w przejściu.

Okrzyk, który się zerwał z jego ust, nie był groźny, nie poparł go też ani przekleństwem, ani srogą miną. Raczej stanowczość i dobrze wyreżyserowana perswazja brzmiały w jego głosie. I wtedy ten „nieorganizowany naród” zaczął się cofać, tłocząc się nagle do tyłu, jak uprzednio tłoczył się ku przodowi. Ktoś rozduśił babie w ścisku pusty kosz. Syknęła, ale nie ośmieliła się krzyknąć. Oczy wszystkich skierowane były na tego uzbrojonego męża NKWD z wyrazem przymilnego strachu. W kącie koło drzwi kwiliło dziecko. Obok leżało kilku drwali wprost na cemencie, rozłożywszy swój skromny posiłek pomiędzy piły, siekiery, plwociny i niedopałki papierosów. „Nieorganizowany naród” bab, dzieci, robotników, wyleniałych inteligentów, który w tak podniosłej chwili ośmielał się wysuwać swe indywidualne interesy, jechać dokądś za indywidualnymi biletami, spędzony został do tej dusznej poczekalni i zamknięty na razie na klucz, aby nie przeszkadzał „narodowi

zorganizowanemu” na placu przed dworcem w jego manifestacji...

Dowiedziałem się wreszcie, że manifestacja odbywa się ku czci delegatów litewskich, którzy przywieźli z Moskwy uroczystą zgodę Rady Najwyższej ZSRR na włączenie Litwy do związku wolnych narodów. Za oknami zagrała muzyka.

Wielkie okna dworców kolejowych, dzień i noc w ciągu wielu lat wpatrzone w miasto przed podjazdem, z biegiem czasu zachodzą bielmem kurzu. W dodatku pajak ze strony zewnętrznej rozpostarł swą pajęczynę, więc patrzyłem przez nią jak przez kratę więzienną na tę najbardziej podłą manifestację, na jaką zdobyć się może zbiorowisko ludzkie: bezwolne stado wiwatowało z okazji utracenia wolności, z okazji przywiezionego mu jarzma, udawało radość. Usprawiedliwiała okoliczność, że znaczna większość nie wiedziała w ogóle o co w tej manifestacji chodzi. Natomiast wiedziała z całą pewnością i przekonaniem, że poszła na nią i pójdzie na każdą następną manifestację, że nie odmówi swego udziału, pokornie i bezwolnie, we wszystkim, czego od „mas pracujących” będzie się wymagało w przyszłości. Tylko za samo miano przynależności do tych „mas”. Bo bez tego grozi utrata posady, prześladowania, więzienie, głód, wrota NKWD. Podły strach o rubel w kieszeni, o własną skórę, o mleko dla dziecka, o prawo patrzenia na własne podwórko, strach – najbardziej przyziemne z ludzkich uczuć – stanowił bramę tryumfalną dla delegatów powracających z Moskwy: bramę udekorowaną czerwonymi flagami.

Wmaszerowała kompania honorowa wojska litewskiego. Zdrowe, silne chłopcy w stalowych hełmach, z karabinami w ręku, z których od 15 czerwca 1940 nie padł ani jeden strzał protestu, ani jeden – w obronie ich ojczyzny.

Oficer wyjął szablę z pochwy. Przyjemnie mignęła w słońcu wydłużona stal. Ale nie po to, by rąbać wrogów, jak to przysięgał przed Bogiem. W tej chwili po śmiesznych frazesach „Bóg i Ojczyzna” depcze, chrzestując butami, cały naród, kroczący w manifestacji komunistycznej. I oficer daje klingą znak, i kompania honorowa prezentuje broń przed zejściem wolności do – grobu. Zagrzmiął hymn sowiecki. Delegaci litewscy wychodzą z dworca.

Poprzez cieniutką kratę zakurzonej pajęczyny widzę limuzynę, która lśnić lakierem na słońcu okrąża plac i zatacza się pod samo niemal okno. Przywiozła przedstawicieli prasy miejscowej. Z limuzyny wysiada między innymi mój dobry znajomy, Polak, były wyższy urzędnik kolejowy dyrekcji wileńskiej, teraz – przedstawiciel polsko-komunistycznej Prawdy Wileńskiej. Taki jak dawniej, gdy chadzał po tym samym dworcu, jak po własnym podwórku, tłusty na twarzy, rubaszny w gestach. Lubiał popić przy bufecie, pogadać z dyżurnym przodownikiem policji, pochwalić się wpływami w wyższej hierarchii urzędniczej, patriotyzmem polskim, nabożnością, nawet antysemityzmem. Dwadzieścia lat wierniej służby w polskim urzędzie państwowym i dwa miesiące w prasie bolszewickiej. Tak, to on. W pumpach, z bródką, pewny siebie i... z ogromną czerwoną kokardą w klapie. Rok jeszcze nie minął, gdy pamiętam... ach, co tam, głupstwo wszystko.

Mam suche oczy i sucho mi w gardle.

Znałem go rzeczywiście od bardzo dawna. Znałem jego żonę, ot, taką sobie, miłą, gościnną mieszczkę, bezpretensjonalną i bardzo nabożną. Kiedyś, pamiętam, u nas na wsi rozszalała się burza. Piorun trzasnął w sosnę, drugi rozłupał starą jabłoń. Na świecie zrobiło się czarno. Wtedy to ona, ruchem pełnym zaufania, z książeczki do nabożeństwa wyjęła święte obrazki i ustawiła każdy w innym oknie, a sama spokojnie uklęknęła. Burza się kończyła.

Marzeniem jej był Rzym. Na rok przed wojną z drobnych oszczędności urzędnika polskiego dał się uciulać kapitalik wystarczający na udział w wycieczce do Rzymu. Pojechała. Po powrocie zbyt rozwlekła i drobiazgowo opowiadała najdrobniejsze szczegóły. A to ja, zemdloną w Bazylice Św. Piotra, podejmował gwardzista papieski, to znowuż papież...

W okresie bolszewickim zostaje „uprawdomem” (administratorem domów znacjonalizowanych). Pokłóciła się z pewnym lokatorem Żydem i krzyczała do niego: „Jak towarzysz śmie! Ja, stara komunistka!...” – i ręce ściśnięte w kulaki przyciskała do swych miękkich, trochę już zwiędłych

piersi.

Robotnicy, tłukący kamienie pod domem na szosie, pocieszali mnie:

- Jeszcze pan będziesz pisał. - Jak Polska wróci. – Jak bolszewików diabli wezmą.

Tego dnia na podwórzu pobliskiej szkoły ludowej wyznaczony był wiec przedwyborczy. Te „pierwsze wolne wybory” odbywały się w ten sposób, że nikt nie wiedział, kim są kandydaci, i skąd się u nas w kraju wzięli. Ale też nikt absolutnie tą sprawą się nie interesował, nie pytał i oczywiście – nie protestował. Przyjęto jako rzecz jawną i najzupełniej normalną, że wszystko jest z góry narzucone, od kandydatów aż do treści ich przemówień i uchwał ”mas pracujących”. Musi być też napisane w gazetach, rozplakatowane po ulicach, że wybory są „najwolniejsze na świecie”, i że „pierwszy raz w historii kraju odzwierciedlać będą prawdziwą, niefałszowaną wolę ludu pracującego”. To wszystko na opak uważano za rzecz najzupełniej normalną.

Dlaczego? Doprawdy, diabli wiedzą, dlaczego.

Poszliśmy razem. Przede mną szedł kamieniarz o mocno czerwonej, przepitej trochę twarzy. Kulął przy tym na jedną nogę, za to tym energiczniej wymachiwał lewą ręką, rozczapierzając dla czegoś wszystkie palce. Droga wypadła przez las sosnowy. Jego rozpięta, niedbale puszczana bluza rozdymała się na wietrze przesłaniając mi widok. Z tyłu szła w milczeniu reszta robotników, i do nich to pokrzykiwał kulawy, nie odwracając głowy:

- Ja im dam wybory, taka ich mać, tam i nazad i w poprzek! To oni myślą, że oni z robotników mogą wariatów strugać! Zaczekajcie chłopcy, my im jeszcze pokażem.

- Daj Antoś lepiej spokój – odezwał się któryś i obojętnie splunął na wrzosa.

Ale kulawy uspokoił się dopiero przy zbliżaniu do szkoły. Tam na ganku wisiała już czerwona flaga. Pod nią tkwiło dwóch policjantów litewskich, jeszcze w dawnych, „burżuazyjnych” mundurach, ale bez naramienników. Znak Pogoni zastąpiła gwiazda na czapkach. Poniżej na stopniach stał mówca, nie znany nikomu w okolicy. Przed furtką mała szara limuzyna, przez której szybę dostrzec było można młodą dziewczynę. Przeglądając się w lusterku szofera, malowała sobie usta.

Mówca mówił długo i monotennie, słuchano go poziewając w zgodnej ciszy. Oklepane, wyświechtane, zbanalizowane do niemożliwości frazesy padały równo jak krople z dachu. Znać zresztą było, że agitator jest zmęczony, że już tuzin podobnych wieców dziś odklepał, i że wszędzie mówił to samo, z tą samą intonacją i tym samym gestem. Tłum stał lub siedział na trawie, nie okazując żadnego zainteresowania. Nawet oświadczenie, że „głosowanie jest obowiązkiem obywatelskim”, przeto w dokumentach stawiane będą pieczętki, nawet ten zastraszający przymus nie był nowością, i wiadano o nim zawczasu.

Siedziałem na trawie, pośrodku podwórza, gdy mówca kończąc przemówienie krzyknął: „Niech żyje Republika Radziecka!” – „Niech żyje ojciec i nauczyciel mas pracujących, nasz kochany wódz i towarzyszu, genialny Stalin!”

- Niech żyje! – ryknął pierwszy kulawy kamieniarz i szeroko wymachując lewą ręką w rozpiętej bluzie zasłonił mi znowu widok podobnie jak tam w lasku.

- Niech żyje! – wrzaśnięto ze wszystkich stron.

Policjanci stanęli na baczność. Wszyscy zerwali się z miejsc. Zostałem sam jeden na trawie, pośrodku podwórza, tak jak siedziałem, a w tej chwili jak rozduszony robak wśród depczących wokół nóg i wzniesionych do góry rąk. Wstałem w końcu, splunąłem i powlokłem się drogą do domu. Po chwili dopędzili mnie powracający z wiecu robotnicy.

Szli milcząc, jakby żując coś niesmacznego, coś co przeczuwali – nie da się łatwo strawić. Na zakręcie minął nas samochód i ciężko buksując, torował sobie w piachu drogę na następny wiec. Z okna wychyliła się ta sama dziewczyna i powiewała czerwonym szalem, machając swą chudą ręką, wysterkającą z rękawa równie czerwonej bluzki. Uśmiechała się przy tym, tym standardowym,

typowym, sztucznym sowieckim uśmiechem, którego pełno na każdym zdjęciu, plakacie, fotografii kinowej, ilustracji gazetowej, o którym twierdzą szpalty sowieckie, wypływane codziennie z maszyn rotacyjnych, że zaświtał na ustach jako radość z wolności i szczęścia. Lepki, fałszywy, gadzinowy uśmiech spodłonej maski ludzkiej.

I znów pierwszy kulas, a za nim kilku innych podnieśli ręce i odkiwali przyjaźnie. Po czym odwracając głowę kulas odezwał się spokojnie, cedząc rzeczowo przekleństwa:

- Paszła ona k p.... matieri! k... czerwona!

- Ot, Żydówka parszywa – mruknął na wpół do siebie – Może ona i nie Żydówka, a tak, prosto bl...

Pozostał nam jeszcze kawałek drogi piaszczystej, wyboistej, pod górę. Z lewa, wysoko nad sosnami, przypiekało słońce. Daleko, daleko już, ginął w zieleni obłok kurzu za samochodem.

- Taksówką, taka ich mać, rozjeżdżają. Komunisty, mać ich... – odsapnął kulawy, któremu iść było ciężko.

Nie wytrzymałem:

- To po jaką cholerę darliście się „Niech żyje!”, jeśli teraz przeklinacie.

Nastała chwilka ciszy, i tylko w ostatnim skwarze brzęczały jesienne muchy. No... a to jakże inaczej?... – odpowiedział kamieniarz i odwrócił ku mnie swą nalaną twarz, na której malowało się szczere zdziwienie.